



Anna Danuta Przytuła

Sygnatura notacji: **N1012**
Data urodzenia: **22.11.1925 r.**
Data nagrania: **28.01.2018 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Minneapolis, Stany Zjednoczone**
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała**
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 55 min, część III 60 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**

część I z III



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Anna Danuta Przytuła: Anna Danuta Przytuła, z domu Kruk-Strzelecka, pseudonim powstaniowy „Koza”. Urodziłam się November [listopad] 22 1925 rok w Warszawie. Mieszkaliśmy w paru miejscach w Warszawie, ale zaczynając od początku, na Pradze. Tam też chodziłam do szkoły podstawowej i tak sytuacja wyglądała aż do 1939 roku. W jednym miejscu, Plac Weteranów 1963–1964 roku, czyli z Powstania Styczniowego. Tak się nazywał ten plac, przy którym ten Dom Żołnierza był. Dom żołnierza, w którym ojciec był dyrektorem. Oczywiście pracował jednocześnie w Ministerstwie Oświecenia Publicznego. Mama Janina z domu Żychowska. Dwaj bracia, jeden cztery lata młodszy, drugi cztery lata młodszy[starszy]. Młodszy – Andrzej Maciej, starszy – Jerzy Bolesław. Tak wyglądała nasza rodzina. Brat starszy chodził do Gimnazjum Władysława IV na Pradze. No młodszy był młodszy ode mnie, więc w tym czasie jeszcze właściwie nie chodził do szkoły. To duży wpływ na mnie miało, po prostu dlatego, że jak Dom Żołnierza, to wszystkie święta wojskowe, państwowe, akademie, wszystko się tam odbywało. No i oczywiście przy dźwiękach Pierwszej Brygady i w mojej pamięci to zostało, że zawsze dużo wojskowych, że ojciec przyjmuje i że przyjmuje w specjalny sposób właśnie tych starszych ludzi, którzy byli weteranami 1963–1964 roku, czyli z Powstania Styczniowego. No i czasami ojca pytałam: „Tatusiu, dlaczego ty tak jakoś w specjalny sposób do nich podchodzisz?”. „No dlatego, że to są właśnie ci, którzy walczyli o to, żebyś ty teraz mogła żyć w wolnej Polsce. i zawsze o tym pamiętaj”. Wtedy nie zwracałam uwagi na to, bo to nie było dla mnie ważne, ale potem, kiedy sama byłam po powstaniu i właściwie starałam się nikomu o tym nie mówić, że brałam udział w powstaniu, rozumiałam, że o tego rodzaju podejściu do mnie i w ogóle do powstańców nie ma mowy, dopóki jest komunizm. Dom był, wie pan, no po prostu rodzina inteligencka, można dodać obywatelska, bo i ojciec, i mama ciągle na jakichś zebraniach, praca społeczna. No co do mamy, to pamiętam, bo była jednocześnie jakąś opiekunką klasy. Wiem, że zawsze na wakacje brata jakieś...

albo brata kolega, albo moją koleżankę i tak dalej, żeby spędzili z nami wakacje. Na zasadzie, że jak mamy dosyć, to pomóżmy innym. No i tak mniej więcej trwało, wie pan, do 1939 roku. Tragedia moja polega na tym, że ja jako dziecko, takie były obyczaje z dziećmi, się na ten temat nie rozmawiało. Ja po prostu przypadkowo kiedyś, no bo ojciec piżamę, górę zmieniał i spoglądałam i mówię: „Tatusiu, co tu ty z boku masz?, takie przejechane przez pół ciała?” „A no, to takie wspomnienia wojenne”. Ale to wie pan, było dosłownie jakby ktoś skórę zdarł, takie ze 30–40 centymetrów. No ale nie mówmy o tym, nieważne to było. Tak że po prostu jako dziecko, no nie byłam wciągana w to. Poza tym, że jak mówię, no akademia, no Piłsudski, no imieniny marszałka, a 11 listopada, no wszystkie te święta się obchodziło. Tadeusz, przy czym „Kruk” to był jeden z licznych jego pseudo, bo to, co ja gdzieś znalazłam, to wiem, że także był „Dyrektor”, był „Szczepan”, no może jeszcze jakieś, ale to było Legionowe, Kruk-Strzelecki. I stąd jak my przyszliśmy na świat, to to zostało już dołączone i ja już urodziłam się ochrzczona jako Kruk-Strzelecka, podobnie bracia, no mama oczywiście. Niestety zaczęłam o tym, że moja tragedia polega na tym, że jako dziecko nie mogłam z ojcem rozmawiać i właśnie no nie mogłam, nie interesowało mnie właściwie wiele rzeczy. I dlatego mówię do 1939 roku. Ojciec też uważał, że różne rzeczy z dziećmi się rozmawia, ale akurat to o przeżyciach wojennych nie ma sensu. Miałam jeden skarb w jakimś sensie, to znaczy książeczkę wojskową ojca, no i zdawało mi się, że w pewnym okresie ja nic w domu nie mogę mieć, to już było po Powstaniu i tę książeczkę za granicę posłałam. No i straciłam ją. Tak że gdyby chodziło o jakiś szlak bojowy ojca, no to wszystko było w tej książeczce wojskowej. I to było właściwie jedyne, bo wybiegając, trochę myśląc do przodu, to kiedy mogłam się cokolwiek więcej dowiedzieć? W czasie okupacji mowa była, że im dzieci mniej wiedzą, tym lepiej. A po wojnie już nigdy ojca nie spotkałam. Czyli mój ten film się jakoś urywa. No ale mam w pamięci pewną ciągłość no. Szkoła powszechna, o ile sobie dobrze przypominam, imienia księdza Bandurskiego na Pradze, ulica Szeroka. Księdza biskupa Bandurskiego. Brat Władysława IV, Gimnazjum, Liceum Władysława IV. To było bardzo niedaleko, tak że chodziliśmy spokojnie spacerem do szkoły. Nie było żadnych problemów. Szkoła, wie pan, zwróciłam uwagę po latach. Tym się różniła od następnych, że tak powiem, sytuacji szkolnych moich znajomych, że ja nie miałam żadnych problemów, że rodzice mnie uczą czegoś innego i szkoła czegoś innego. To był ten sam przekaz. No to dla dziecka jest najlepsze. No a jakie były warunki w szkole? No to powiedzmy, wiedzieliśmy, że szkoła i nauczyciele to jest coś w moim życiu bardzo ważnego. I rodzice zawsze powtarzali: „Oni ciężko pracują i starają się ci jak najwięcej przekazać ze swojej wiedzy. I masz być posłuszna i cicho.” i tak dalej. Trudno powiedzieć czy ja to chciałam zrozumieć, ale stosowałam się do tego. Nosiło się mundurek, tarczę, rozpoznawalna byłam na ulicy, wiadomo było, do jakiej szkoły chodzę. Wiem, że koledzy, którzy zachowywali się w sposób niewłaściwy, no to natychmiast spisywał ktoś tarczę i potem ewentualnie interwencja w szkole, że chłopiec się niewłaściwie zachowywał na ulicy. Czy to było trudne? Nie. Jak człowiek nie szalał, nie dokazywał i nie robił nic niewłaściwego, no to w porządku. No i co wakacje wyjeżdżaliśmy do... tu by się powiedziało, ranczo, do małego majątku, który ojciec nabył na zasadzie... to miało być osadnictwo wojskowe na ziemiach wschodnich. Więc warunki były dobre, to znaczy można było coś nabyć na raty. A jednocześnie był to duży majątek, o ile dobrze pamiętam, Czapskich. Chyba tak to było, Czapskich. On był po prostu, że tak powiem, podzielony jakoś na jakieś działki. To było niestety nad samym Bugiem, ale po tamtej stronie. Gdyby było po tej, to byłoby wszystko w porządku, było po tamtej stronie. Tak że potem w tym majątku zrobili Rosjanie stanicę wojskową. Ale to ciąg dalszy. Więc co wakacje tam się spędzało czas. Dlaczego mówiłam o 1939 roku? Dlatego że życie tak wyglądało, jak wyglądała szkoła, w domu nauka i tak dalej. Ale w 1939 roku wszystko się zmieniło. Po prostu ojciec po wakacjach ściągnął nas, jak zwykle szkoła się zaczyna, 3 września do domu. Po czym po upływie chyba tygodnia wysłał nas z powrotem. Kwestia była,

że po prostu wybuchła wojna. Niewiele mogę na ten temat powiedzieć, bo co mi mówiło „wojna wybuchła”. Przecież ja nie miałam żadnych doświadczeń. Byłam zadowolona, że szkoły nie będzie. Przez jakiś czas mam znowu dłuższe wakacje. No ale w pewnej chwili ojciec powiedział, jedziemy z powrotem do Żdżar. Tak się nazywała ta wieś nad Bugiem. Żdżary. W tej chwili nazwa jest zmieniona. Nazywa się Zawodne. Dlaczego zmieniona? Nie wiem. Ale byłam tam, więc wiem jak to wygląda w tej chwili. I jak to wygląda? – Wszystko zniszczone. – Nic nie ma? Ponieważ stacja wojskowa była. Niemcy zaczęli i od razu cały dworek poleciał. Znalazłam tylko to miejsce dlatego, bo to kamień na kamieniu nie został. Tylko dlatego znalazłam, że tam coś w rodzaju obelisku. W tym dniu zginęło tyłu a tyłu żołnierzy radzieckich, strażników granicznych. I ja po tym obelisku trafiłam, bo tak mi na wsi powiedzieli: „Tam nie ma nic, nawet krzaka, nawet drzewka, nawet cegły. Ale jest obelisk i to jest miejsce, gdzie ten dworek stał”. Ojciec po prostu wsadzał nas w ostatni pociąg pospieszny, czy ostatnią „Torpedę”, nie wiem, jak to nazwać. Wiem, że było to dla mnie okropne przeżycie, ponieważ było ciemno, potworny tłok. Ludzie płakali, żegnali się. Ojciec nas i resztą wszyscy wsadzali swoje dzieci przez okno, przez drzwi, no takie małe piekło na ziemi. No to byłoby jeszcze nic, tylko w pewnej chwili zorientowałam się, że ojciec stoi na peronie. My jesteśmy powsadzani, coś tam wepchnięte za nami przez okno, ale ojciec zostaje. Więc ja mówię: „Mamusiu, co się dzieje?”. „Tatuś zostaje, bo będzie pewnie obrona Warszawy”. No i to dla mnie był wstrząs. To jakoś trudno wytłumaczyć, ale ojciec był dla mnie większą ostoją niż mama. Więc jak to? On nagle zostaje i my jedziemy, nie wiadomo, gdzie, piekło na ziemi i tak dalej. Nie dojechalśmy daleko, znaczy w końcu dobrnęliśmy na miejsce, ale po drodze stawał ten pociąg, wyskakiwaliśmy, chowaliśmy się w rowach. Ostrzeliwanie było z broni pokładowej przez samoloty niemieckie. No i w tych warunkach jakoś do tej wsi dotarliśmy. Niby tam był święty spokój, ale muszę powiedzieć, że wiemy wszyscy o rzezi wołyńskiej i wiemy o 1943 roku. Ale ja przypominam sobie, że my już chowani byliśmy w stogach. I dlatego moje mieszane są trochę uczucia, jeżeli chodzi o Ukraińców. Bo przylatywali ze wsi i mówicie: „Pałą sąsiednie dwory, chowajcie się”. No i zabierali nas do jakichś stogów, pakowali. To się powtarzało dwa czy trzy razy. No więc... – Ale kiedy, kiedy to się powtarzało? – No 1939 rok. – Aha, wtedy, kiedy pojechaliście? – Kiedy pojechaliśmy. Ale chodzi o to, że już nastroje takie były dziwne. Dziwne dla nas, no bo przyjeżdżamy i nagle... Właściwie okazuje się, że to już tak jest nasze i nie nasze. Bo tu już trochę władza ludowa, jakiś był delegat, ja nie wiem, ktoś, kto przesiedział podobno 10 lat w więzieniu za komunizm. Jakiś komisarz od razu był i: „Tutaj właściwie nie ma nic waszego już”. Więc mama mu tłumaczyła: „No jak to, no to jest dopiero wrzesień, to jest czas kiedy się sprzedaje zboże, stogi zboża są. No różne rzeczy do sprzedania są, krowy, konie”. „Nie, to już wszystko nie jest wasze”. „Wasze jest tylko to, co macie w walizkach”. W międzyczasie jeszcze ku zmartwieniu i przerażeniu mojej rodziny jakiś oddział, ale wspaniale wyposażony policji, zjawił się u nas, że „Oni muszą się tu zatrzymać”. Więc mama mówi: „Przecież ściągacie na siebie i na nas niebezpieczeństwo, bo tutaj już sytuacja się zmieniła”. „No to ruszycie dalej”. No ruszyli dalej, ale zostawili broń. Więc w pewnej chwili jak wpadła ta władza ludowa, to się okazało, że w każdym pokoju gdzieś była poukrywana broń i to rzeczywiście oni byli bardzo dobrze wyposażeni. Co się z nimi stało, nie wiem, bo zniknęli w nocy, tylko już bez broni, widocznie zdecydowali się po prostu może poprzebierać i uciekać, każdy w inną stronę. Wie pan, to już przecież zbliżał się 17 [września] i wejście Rosjan. Czyli ten komisarz jakby się ukonstytuował jeszcze przed 17 września, czyli przed... Już, już tak. No oni wiedzieli zresztą, co wisi w powietrzu, myśmy nie wiedzieli. W międzyczasie przecież myśmy się zdecydowali: „No zaraz, zaraz, jeżeli Rosjanie weszli, no to my wracamy do Warszawy”. No nie mieli do nas nic poza tym, żeby powiedzieli, że wszystko, co macie w walizkach, to musicie oddać. No dlaczego? Dlatego że jeżeli to wszystko, całe gospodarstwo nie jest wasze, to wasze są tylko rzeczy prywatne i pieniądze. A jeszcze nie

macie wszystkiego rozliczone ze służbą. No jak mogliśmy mieć, skoro nic nie było posprzedawane z tego, czym można było handlować na wsi. W każdym razie zdecydowaliśmy się, że jedziemy do Warszawy. Dali nam jedną furmankę.

Rafał Pękała: To było już po 17 września?

Anna Danuta Przytuła: Tak.

Rafał Pękała: A w ogóle Sowietów pani widziała? Czy pojawili się z żołnierzami?

Anna Danuta Przytuła: Nie, nie, nie. Władza ludowa, ale jakaś taka miejscowa, wie pan.

Rafał Pękała: Cywilni, tak?

Anna Danuta Przytuła: Wojsko nie. Tylko wiadomo było, że weszli, no więc no dobrze, no. Jesteśmy z dwóch stron, tu Niemcy, tu Rosjanie, no to wracamy do Warszawy. No co my tu będziemy robić? Wszystko nam zabrali. Ale Warszawa jeszcze się broniła, wiedzieliście? Warszawa się... no myśmy niewiele wiedzieli. Wtedy nie było przecież telefonów takich na wsi. Czy tak, czy owak, w pewnym momencie znowu, obstrzały, nieobstrzały, bo cóż, nie bardzo w nocy można było podróżować, więc za wojskiem. Może z taborami, no to łatwiej będzie. Okazało się, że jeszcze gorzej, bo ostrzeliwali te tabory, więc my przy okazji też byliśmy ostrzeliwani. I w pewnej chwili ktoś nam powiedział: „Ludzie, przecież do Warszawy się już nie dostaniecie. Warszawa zamknięta, otoczona”. No więc co robimy? No wracamy z powrotem na wieś, no bo gdzie mamy się podziać? Wracamy na wieś, no ale to już stosunki są zupełnie takie nie do zniesienia, bo mnie się wydaje, że oni czekali po prostu na ojca. Na ojca czekali i dlatego pozwolili nam siedzieć jeszcze. Kiedyś się zjawi, prawda? No nigdy się nie zjawił, bo wiedział, o co chodzi. Mimo że był właściwie ojciec w rezerwie, więc nie musiał brać udziału w obronie Warszawy. No ale na pewno miał taką przeszłość, że nie było mowy, żeby miał się dostać w ręce ruskich. Absolutnie nie. To byłby wyrok na niego. A co tam robił, to potem może trochę panu powiem. Nie mam książeczki wojskowej, ale mniej więcej pamiętam z pojedynczych zdań. W każdym razie, no znaleźliśmy się w kotłach, no bo ani tu, ani tu i wreszcie znowu mówimy, no to już Warszawa padła pewnie, no to wracamy do tej Warszawy. Dowiadujemy się znowu od ludzi, że wiecie co, my jesteśmy z Pragi i my widzieliśmy, Dom Żołnierza jest absolutnie zniszczony. Nie mamy wiadomości od ojca, ojciec nie ma wiadomości od nas, wiemy, gdzie jedziemy, ale nie wiemy właściwie, co zastaniemy. No ale w takiej sytuacji jednak zdecydowaliśmy się jakoś dostawać z powrotem do Warszawy. Pieniądzy już nie mieliśmy, mieliśmy tylko trochę rzeczy w walizkach naszych prywatnych, ale spotkaliśmy młodą kobietę z małym dzieckiem, która, to była jakaś, wie pan, arystokracja z dworów na, że tak powiem, wschodzie Polski. Z reguły ci ludzie byli także w wojsku, więc ona mówi: „Mój mąż w wojsku jest, ale mnie po prostu starał się wystać do rodziny do Warszawy”. Więc jakoś się mama dogadała z tą panią, że no czy ewentualnie pożyczycie nam pieniądze, bo my nie mamy jak zapłacić przemytnikom. Nie możemy się przedostać z tą furmanką oficjalnie, bo raz, zamknięta, raz otwarta granica, raz godzinę, raz w nocy, raz w dzień. No to po prostu no nie sposób było stać, bo nie było z czego żyć zresztą. No jakoś byliśmy przekonujący, że tak, dobrze, ona ma pieniądze, wobec tego ona za nas pokryje. Byliśmy jej pomogli w tej podróży przy pomocy przemytników z tym

małym, bo to było niemowlę, przebrnąć. Bo to miało być po prostu czołganie się w nocy w błocie nad Bugiem, żeby dobrać do jakichś łódek, które oni tam mieli gdzieś pochowane. No ale przecież granica była strzeżona i z jednej, i z drugiej strony. Więc to była bardzo ciężka noc. To było, akurat pamiętam, ponieważ to było w dzień moich urodzin. To znaczy 22 listopada. No i widocznie, no zimno, noc, to błoto, to woda. Tak że ja złapałam bardzo wysoką temperaturę. No ale jakoś do tych łodzi dobrnęliśmy w wielkim strachu, bo niemowlę w każdej chwili mogło zacząć płakać. No i co zrobimy? No wpadniemy w takiej sytuacji. Więc wszyscy pomagali z tym niemowlęciem tej młodej kobiecie. Dosłownie, ona szła przodem z dzieckiem, czy przy ziemi, a ktoś trzymał to dziecko i czołgał się obok niej. No rzeczywiście doprowadzili nas do jakichś łódek. Z tym, że to wyglądało w ten sposób, że oczywiście nie możemy się wszyscy zabrać, bo za dużo ludzi i jeszcze troszkę walizek jest. Więc „panowie”, w cudzysłowie mówiąc „panowie” przemysłowcy wpadli na genialną myśl. No to będziemy częściowo wozić was na drugi brzeg Bugu i w ten sposób skompletujecie się. No więc tak to wyglądało, że rzeczywiście skompletowaliśmy się, jeżeli chodzi o liczbę osób, ale bagaż nigdy nie dojechał. Tak że zabrali nam resztkę tego, co mieliśmy, ubrania i tak dalej. No i tylko pamiętam, że mama mi składa życzenia i mówi: „Moje dziecko, dzisiaj dzień twoich urodzin był właściwie, już jest ranek dnia następnego”. Ale ja ledwie to pamiętam, bo ja mam bardzo wysoką temperaturę. I tu wie pan, trochę mi się film urywa, bo wiem, że w jakiś sposób mama usiłowała odnaleźć ojca w Warszawie, czy kogoś ze znajomych, dowiedzieć się, czy ojciec jest, czy go nie ma, czy żyje, czy nie żyje i gdzie. No i widocznie ja byłam w gorączce, więc ja już tego dokładnie nie pamiętam. Czyli nie pamięta pani, kiedy dotarliście do Warszawy, tego momentu dotarcia do Warszawy? Moment samego dotarcia, tak, bo to na mnie był wstrząs, jak ja na tę Warszawę popatrzyłam. Ale trwało to jednak pewnie tydzień w tej chałupie. Zresztą te nasze łódki chyba zostały w nocy granatami załatwione. Tak że skończył się ten transport przemysłowcy przynajmniej na tym odcinku, bośmy słyszeli to. No i oczywiście była myśl jak najprędzej uciec, bo to była chałupa nad samą rzeką. No, ale ja byłam chora. Więc wreszcie, kiedy troszkę wróciłam do siebie, przyjechaliśmy jakimś transportem, już nie wiem, towarowym czy innym, na Pragę. No i dla mnie to był wstrząs, bo to była noc, ciemno, okna powybijane, dykta w oknach, przy trotuarach, na jezdniach groby, krzyże. No nie ta Warszawa, którą zostawiłam. No i te ruiny Domu Żołnierza, którego już nie ma. Ojciec w międzyczasie oczywiście, jak złapał kontakt z mamą, już teraz tak mówię, nie wiem, czy posłaniec jakiś, czy mama wysłała przez kogoś kartkę, w każdym razie znalazł mieszkanie niedaleko. Wiedział, że my bardzo lubimy Pragę, więc na Pradze znalazł. To była ulica Zygmuntowska, Trakt Królewski. To tak jak prowadzi przez most Kierbedzia do Śródmieścia. Więc to było jedno fantastyczne, że no jesteśmy na Pradze i ojciec żyje, i my żyjemy. Byliśmy prawdopodobnie w paskudnym stanie, bo wiem, że tata powiedział: „Nic nie dotykać, wszystko rzucać w sieni ze siebie i szybko do łazienki”. No i miał rację, bo to wszystko było zawzione. To były te trochę pobyty w tych chałupach wiejskich. No ale było to oczywiście, czy tak, czy owak, wspaniałe spotkanie z ojcem, że żyje i tak dalej. Nic mu nie było, ale brał udział czynny? Tak, oczywiście brał. Brał, z tym że musiał niestety wybiec do przodu myślą. W międzyczasie część zdecydowała się, no większa część, iść do obozów. A ojciec wśród szesnastu, to była taka grupa szesnastu, zdecydowali, że oni nie pójdą do niewoli, bo to jest stracony czas. Oni będą próbowali coś zorganizować na terenie Polski. Wtedy oczywiście nie wiedzieli, co to będzie. No ale w sumie nazywało się to Służba Zwycięstwu Polski. Potem nazywało się ZWZ, Związek Walki Zbrojnej. To było ciągle to samo, tylko zmieniały się nazwy. No i ostatnia nazwa to była po prostu Armia Krajowa.

Rafał Pękała: O Służbie Zwycięstwu Polski dowiedziela się pani od ojca, czy już raczej później,

po wojnie?

Anna Danuta Przytuła: Nic się od ojca nie mogłam dowiedzieć, bo to ciągle było „jak nic nie wiesz, to nic nie powiesz”. Więc no wiadomo było, że coś ojciec robi, bo dosłownie wielka narada rodzinna była i ojciec powiedział: „Proszę was, w żadną konspirację się nie bawić, bo narażacie ludzi i to może się skończyć większą tragedią”. Jeszcze wasze rozkładanie broni czy jakies... Bo to były także komplety szkolne, wie pan, to były różne rodzaje grzechów, bo w końcu uczyć się w domu nie była to... ale to były komplety tajne. I to począwszy od szkoły powszechnej, a potem się okazało, że i doktoraty w ten sposób można było składać, zdobywać. No ale w tym momencie ojciec powiedział: „Proszę, nic, dom musi być absolutnie wyłączony z jakiegokolwiek głupiej waszej działalności”. Miał na myśli oczywiście swoją działalność, tak? Tę, którą... On nic nie mówił, powiedział tylko, że „Narażacie ludzi i ważniejszych, bawiąc się w konspirację. Więc pamiętajcie, nie wolno nic robić”. No ale ja mówię, no dobrze, a moje komplety? Ja chodzę do koleżanek, ale czasami wypada, że u mnie też powinien być komplet. No to było pięć czy sześć młodych ludzi i tak dalej. Więc ojciec mówi: „No to komplety, to oczywiście, to już trudno”. No bo oczywiście te komplety szkolne to nie była znowu taka straszna zbrodnia, prawda? No ale brat jednak, ja raz i drugi zauważyłam, że on z jakimiś kolegami, jak ojca nie było, to on tam się bawił, wiem, że zamykał drzwi, ale rozkładanie, składanie broni, no podsłuchałam jakoś, że on coś tam robi nie tak, jak tata powiedział, że ma być. No ale tak to jakoś tam trwało. Kiedy ojciec przyszedł, bo to dość krótko było, może miesiąc, może półtora, kiedy ojciec przyszedł pewnego dnia i powiedział, że będziemy się przenosić do Śródmieścia. I to jest konieczność. Ja mówię: „Przecież lubimy Pragę, tutaj zawsze mieszkaliśmy”, „Nie, musimy się przenieść”. Potem okazało się, że chodziło o to, że ojciec nigdy nie był czysty. Zawsze przy sobie coś miał, jakąś bibułę. Bliżej nie wiem, co, raz tylko zauważyłam, co mnie bardzo zaintrygowało. Bo to prawie jak na filmie, że nie zapukałam do drzwi i ojciec siedział, i wtedy papierosy były takie z ustnikami, i coś wyciągał cieniutkiego z tego papierosa. No ale szybko to odłożył na bok, bo oczywiście nie mogłam przeczytać, nic nie widziałam. Chodziło o to, że przy moście Kierbedzia były straże niemieckie. No i po prostu zatrzymywali ludzi, no rewidowali. Więc ojciec doszedł do wniosku, że to jest bez sensu, no codziennie, no nic nie mógłby przy sobie mieć. I dlatego zdecydował się, że musimy jednak mieszkać w centrum Warszawy. Po prostu tam byli ci wszyscy ludzie, którzy zdecydowali się, że będą tworzyli Polskę... Polskie Państwo Podziemne. Oni mieszkali w Śródmieściu, więc ojciec także zamieszkał. Jeżeli chodzi o ojca, to panowie podzielili się funkcjami. Ojciec był szefem BIP-u, czyli Biuro Informacji i Propagandy. Nie trwało to długo, ponieważ Sikorski naciskał z Londynu, żeby „Grot” Rowecki absolutnie nikogo z Piłsudczyków, żeby nie było tam w tym zespole przywódczym. Mam, wie pan, książkę, gdyby pan chciał parę słów przeczytać, to by pan przeczytał. Uporczywie pisał do „Grot”, że ma bezwzględnie pozbyć się Kruk-Strzeleckiego i wszystkich jego zwolenników. To nie była żadna grupa zwolenników, to byli ludzie po prostu, którzy zdecydowali się na rzecz tej walki o wolną Polskę robić coś. „Grot” dłuższy czas odpisywał, prosił o argumenty. „Ja muszę mieć jakieś argumenty w tych warunkach, ci wszyscy ludzie narażają życie. Jak ja mogę człowieka zwolnić? On mi jest potrzebny. Mam wybranych ludzi”. No ja trochę nie wiedziałam, ale wiedziałam. To znaczy ojciec rzeczywiście zwolnił się, ale panowie dalej byli w kontakcie, bo parokrotnie zauważyłam, że ojciec nie zamknął całkowicie drzwi i „Grot” Rowecki bywał u nas. Panowie się po prostu naradzali. Potem od mamy się dowiedziałam, że zrobił to, co musiał. To znaczy nazywało się, że już ojciec nie jest szefem BIP-u, ale oczywiście, jak to się mówi, po cichu siedział i miał robić inne rzeczy, czekać na dobrą chwilę. To była ta wielka wojna Piłsudski i Sikorski. Tak, to jeszcze z okresu międzywojennego się... W tym tylko, że „Grot” nie mógł zrozumieć, że w takich ciężkich warunkach, trudnych, żeby to wyciągać. To,

co się od mamy dowiedziałam, to mówi, Sikorski to Sikorski, Animożje z Piłsudskim to jedno, ale drugie był przy nim ten zły duch. To był pułkownik Kot, tak się nazywał, Kot. Więc mówi, to jest jego robota. Bo zresztą, także mowa była: wszystkich zwolnić jego zwolenników. To znaczy, tak jak gdyby ojciec miał jakąś jednostkę, którą zarządzał, zwolnić jego, broń Boże, żeby nie był, i jednocześnie jego zwolenników. No więc co tam dalej z tymi ludźmi było, to już nie wiem, bo nie mogłam się dowiedzieć, bo i od kogo mogłam. Jeszcze proszę powiedzieć, bo nie powiedziała pani, gdzie się przeprowadziliście do Śródmieścia? Przeprowadziliśmy, to były dwa miejsca... Pierwsze to było Mokotowska 46A. A potem, nie z własnej woli, to była, tak jak i teraz jest, bardzo ładna dzielnica. I któregoś dnia zjawił się oficer Wehrmachtu. Zresztą zachował się przyzwoicie, zapukał, dopóki ojciec nie powiedział „Proszę wejść”, stał na korytarzu i powiedział, że on dostał przydział na to mieszkanie. No i czy my moglibyśmy powiedzieć mu, w jakim czasie on by mógł tu zamieszkać? To znaczy, tydzień, miesiąc, ile czasu potrzebujemy, żeby sobie coś znaleźć? To było pierwsze mieszkanie. A potem stamtąd przeprowadziliśmy się na Moniuszki 9. To blisko zdaje się Mokotowskiej, Moniuszki 9? No, wie pan, to z perspektywy czasu, to jeżeli pan słuchał przemówienia Trumpe, to mowa była o Alejach Jerozolimskich. Ty po jednej stronie alei, a to po drugiej stronie alei. To była zupełnie inna sytuacja później. No i w międzyczasie, jak tam byliśmy, na tej Mokotowskiej mieszkaliśmy, to ojciec oczywiście dalej w jakimś sensie był zaawansowany, skoro wiem, że właśnie widywał się z „Grotem” Roweckim. A ja chodziłam do pensji, która była, już niestety w tej chwili nie pamiętam, ale to było mniej więcej róg ulicy... w tej chwili to się Piękna nazywa, czy Piusa, nie wiem, i Mokotowskiej. Tam była pensja pani Zyberk-Plater. To było dla dziewcząt właściwie z rodzin takich bogatych, arystokratycznych rodzin. Tam jednocześnie miały internat, mogły spać, mogły mieszkać, a ja byłam po prostu ta, która codziennie przychodziła, bo to był kawałeczek drogi, parę minut, więc nie było sensu, żebym ja tam miała być cały czas. Byłam normalnie w domu, Mokotowska, 46A. Na którym piętrze mieszkaliście tej kamienicy 46A? Wie pan, to była taka śmieszna historia, bośmy wszyscy protestowali, że my w ogóle nie chcemy na Mokotowskiej. Jeszcze jak ojciec powiedział, że to będzie nie od frontu, no więc „Tatusiu! No to co jeszcze... Nie chcemy”. A potem się okazało, że to było wspaniałe, ponieważ to były okna, balkony wychodziły na Aleje Ujazdowskie, a właściwie na tyły domków ambasad. W tej chwili to jest ambasada amerykańska.

Rafał Pękała: Na którym piętrze pani tam mieszkała?

Anna Danuta Przytuła: Chyba trzecie piętro. Przepraszam, pytam dlatego, że przez pięć lat mieszkałem na Mokotowskiej, to obecnie już nie jest 46A, tylko inny numer, ale na drugim piętrze. – Tak? – Tak. I to chyba też wychodziło na ambasadę amerykańską. Świetne to było, piękne. Ale najśmieszniejsze to jest to, że na zasadzie przypadku, moich synowie kiedyś powiedzieli: „Chodzisz, wzdychasz, oglądasz na wszystkie strony ten dom. Dlaczego nie wjedziesz na górę?”. Ja mówię: „Jak ja mogę wjeżdżać? Ludzie się włóczą i nie wiadomo, ja nie mogę po prostu zadzwonić i zapukać, i ja wchodzić”. Oni powiedzieli: „To jak ty nie możesz, to my możemy”. No i w pewnej chwili, bo tam brama automatycznie była otwierana, zamykana, ktoś wchodził, wychodził, synowie pojechali. Dwa słowa zamienili z tym, który tam mieszkał, facet jakiś z kimś i: „Czy mama mogłaby zajrzeć do tego mieszkania, bo tu kiedyś mieszkała?”. On powiedział: „Oczywiście, proszę bardzo”. Nie wiem, jakieś inne jeszcze były stosunki, bo byłam zdumiona, że w ogóle wieczór, że wpuścił ten człowiek synów. No i tak się zaczęła, nie powiem, wielka przyjaźń, ale co roku jestem u niego i z balkonu wyglądam na ambasadę amerykańską, bo jest tak prawie vis-a-vis.

Rafał Pękała: Wracając jednak do przeszłości jeszcze. O tej pensji pani mówiła.

Anna Danuta Przytuła: No, chodziłam na tę pensję pani Plater. Brat oczywiście też chodził, to była chyba szkoła, która miała być odpowiednikiem politechniki, ale oczywiście Niemcy nie uznawali żadnych wyższych uczelni, więc to była chyba szkoła mechaniczna, coś takiego, Wawelberga, czy coś takiego. I to był odpowiednik. No i więc posuwał się, jeżeli chodzi o to kształcenie się trochę do przodu. Ze mną to była dość ciekawa sprawa, bo mama się bardzo denerwowała, zresztą tak samo o brata, o mnie, jak ja wychodziłam. No niemożliwe było, żebym ja w ogóle siedziała bez przerwy w domu. No wylatywałam na tę pensję, to było pięć kroków, wracałam i nie wychodź, nie wychodź. Więc zaczęli rodzice, już wcześniej starali się, o jakiś taki ausweis, który zapewniałby mi, że w razie łapanki to mnie nie zatrzymają. No jak mogą mnie zatrzymać, jeżeli młoda, zdrowa dziewczyna. No i okazało się, że udało się. To była, wie pan, instytucja jakiś, mogłabym sobie po trochu przypomnieć, ale w tej chwili nie pamiętam, założony przed wojną i tam po prostu produkowali szczepionki, bo to Niemcy szalenie się bali tyfusu, przeciwko tyfusowi. I potrzebowali tak zwanych zdrowych młodych dawców. Więc ja im zapasowałam. Przebadali mnie. Zdrowa młoda krew i dostałam legitymację, która gwarantowała mi, że jak będę złapana, natychmiast mnie wypuszczą. Mowy nie ma. No bo po prostu oni mieli już tutaj kogoś zarejestrowanego, młodego, zdrowego, no więc gdyby mu zabrali, to trzeba znów szukać i znów ktoś musi być młody, ktoś musi być przebadany. Tak że ta legitymacja bardzo służyła moim rodzicom, ale mnie nie. Bo ja po prostu miałam wrażenie, że wszystko po mnie chodzi. To było jakoś zrobione w sposób minimalny. Jakaś taka klatka, którą przyczepiano na udzie, na gumie, ciasno tak. I tak miałam siedzieć 40 minut, do godziny. Potem to miejsce było bardzo czerwone i bardzo mnie swędziało, ale nigdy nic do domu nie przyniosłam, bo to była klatka taka, wie pan, nie wiem, z czego, tylko z góry mogłam widzieć, bo była szybka. No nie patrzyłam, nie zaglądałam, bo miałam uraz. – Ale to były wszy? – Wszy, oczywiście. Więc w pewnej chwili powiedziałam, że ja już bym chciała coś innego robić. To niby nie... rzeczywiście to była minimalna płaca, ale potem się zorientowałam, później, wiele lat później, okazało się, że tam całkiem znani ludzie byli też, kto mógł się załapać. Wiem, że tam Herbert był na przykład, Skrowaczewski. Oczywiście, że wtedy nie znałam, nie wiedziałam, kto, co i byłam pewno na oddziale jakimś kobiecym. Ale to były dość znane nazwiska i też powoływali się, że właśnie też im to gwarantowało ausweis najpewniejszy. No i wie pan, tak to trwałoby jakiś czas, gdyby nie to, że w pewnym momencie Niemcy zaaresztowali ojca. Nie, to nie było nic bezpośrednio przeciwko niemu. To chyba była łapanka przed 11 listopada, taka profilaktyczna. Na jakiej zasadzie pewnych ludzi wyciągali? Bo to z mieszkania było, to nie było na ulicy. Przyszli po prostu do nas. A którego roku? Pamięta pani, w którym to był roku? Wie pan, zaraz, który to był rok... chyba 1942. Bo ojciec potem drugi raz był aresztowany, to chyba już w 1943. I ten drugi raz to już go zatrzymali. Ale wtedy aresztowali go chyba na początku listopada, a może w październiku i już na święta był w domu. Więc to dosłownie było jak gdyby w związku, spodziewali się jakiejś ruchawki na 11 listopada, czy coś w tym sensie. Ale to było jakieś tam przeżycie, bo przecież człowiek nie wiedział, puszcza, nie wypuszcza, czy złapali go dlatego, że on jest on, czy no nie wiem. Na zasadzie przypadku, bo bardzo dużo ludzi było aresztowanych, potem ich porzucali. Jakoś zdali sobie sprawę, że no wszystkich nie będą trzymać na Pawiaku. Aha, czyli na Pawiak, tak? Tak. No więc tak jak mówię, na Boże Narodzenie już ojciec był z powrotem. Czy coś mówił o warunkach pobytu na Pawiaku? A wie pan, że ja czasami sobie, teraz już nie, bo nie widzę, ale na przykład w jakiejś książce mam, że ojciec po powrocie rozmawia z kimś, kto potem napisał, że wrócił i pytam: „Czy pan wszystko powiedział?” No i pan Tadeusz się śmiał, mówi, no nie dosłownie wszystko, bo był stamtąd zabierany na jakieś przesłuchania, mimo

wszystko. Więc mówi, że dziwiłem się, że człowiek uśmiechnięty, jakiś taki pogodny, a przecież za każdym razem, jak go wzywali na badania, różnie się to mogło skończyć. Ale widocznie na tyle mądrze się tłumaczył, że puszczała go po prostu. Wracał z powrotem na Pawiak i relacje kolegom zdawał, jak tam było, co było. Więc mówił: „Nie, nie, nie byłem ani bity, ani nic. Ja przecież oficjalnie to jestem handlowiec”. „Nikt o mojej przeszłości nic nie wie, dopóki mnie zidentyfikują i ktoś nie rozpozna mnie i nie wsypie. Ja jestem po prostu handlowiec”.

Rafał Pękała: A czy pani wie, czy tata posiadał fałszywe dokumenty, czy na prawdziwe nazwiska?

Anna Danuta Przytuła: Nie, na prawdziwe, bo ojciec był po prostu... Ja znów, widzi pan, nie mogę szczegółów podać, bo tak jak mówię, wtedy nic się nie mówiło, a po wojnie, po Powstaniu, już nigdy ojca nie spotkałam. Tak że ani on o mnie, ani ja o nim, nic więcej nie mogli sobie powiedzieć. Ale wiem, że to się nazywało, że ojciec ma być handlowcem, ma mieć firmę i będzie dyrektorem tej firmy. Chodziło o to, że chcieli wiedzieć, jak się poruszają wojska niemieckie. Więc ta firma, ta fabryka miała produkować siatki. Wie pan, tak jak zakrywa się no czołgi, nie czołgi, tak w ochronnych kolorach. I to miało pomóc naszym zorientować się, jakie zamówienia są, w którą stronę i ile tego potrzebują. Z tym że ojciec miał wspólników i ci wspólnicy zasadniczo załatwiali wszystkie sprawy, bo ojciec ani nie chciał się pokazywać, ani nie chciał być widywany z Niemcami. A ten pan spokojnie w knajpie się spotykał i co potrzeba było, wyciągał od tych Niemców. Ale ojciec, że tak powiem, nigdy nie miał żadnych kontaktów bliższych, no bo nie chciał. Do domu nie ma mowy, żeby było, nawet ten pan, który był wspólnikiem. Mama mówiła: „Nie, ja tu w domu go nie będę przyjmować. On może dobrą rolę odgrywa, ale to nie jest człowiek, którego ja bym chciała do mieszkania wpuścić. Niby Polak, ale taka... kombinator, pijaczyna trochę. Ale taki był potrzebny, żeby z tymi Niemcami opijać w tych knajpach”. No ojciec nie chciał tego robić. I tak to trwało, wie pan. Z tym że w międzyczasie były dość duże przeżycia w domu, bo z jednej strony mama została rozpoznana w Instytucie Radowym, przeciwrakowym, im. Curie Skłodowskiej, że organizm jest zajęty rakiem. No i trzeba było się zdecydować na operację. Z drugiej strony w naszym domu już od dłuższego czasu chowane było dziecko żydowskie. Po prostu któregoś dnia, tak jak już panu mówiłam, z dziećmi się na pewne tematy nie rozmawiało. Rodzice przyszli pewnego dnia z miasta z małym chłopcem, nie wiem, ile on mógł mieć, 12 lat może, że ten chłopiec teraz z nami będzie. To jest syn naszych znajomych i my obiecaliśmy, że będziemy się nim opiekować. No więc, wie pan, mama uważała, że dziecko musi mieć normalne życie. No może i normalne, ale on tak wyglądał, że na twarzy rasa była wypisana. Dosłownie była wypisana. Szczególnie, jeżeli stali koło siebie mój młodszy brat i on. Bo mój brat, różowa twarz, blond włosy, piegowaty nos, jak ja mówiłam, do Hitlerjugend by się nadawał, a tamten czarny. No i rysy, rysy po prostu. Więc decyzja, żeby był w domu, tak. Ale mama powiedziała, w żadnych komórkach, w żadnych szafach, on nie może być chowany, bo się nabawi jakiejś fobii, on musi żyć normalnym życiem. No ja mówię: „Normalnym życiem? No to przecież niemożliwe”. „No nie będzie wychodził na ulicę, ale po prostu niech różne rzeczy sobie robi w tym całym mieszkaniu, żeby nie był nigdzie gdzieś schowany, bo to bez sensu”. No na balkon też, żeby nie wychodził, bo były sąsiednie domy, balkony, więc ktoś tam mógł zobaczyć. To było, wie pan, co tak... Do tej pory jeszcze w Warszawie jest ta kamienica. To była taka knajpa Adria. Tak że jak staliśmy na balkonie, to tak troszkę w prawo patrząc, ten lokal był. Bardzo znany zresztą w Warszawie. No więc na ten balkon miał nie wychodzić, a poza tym... To też, wie pan, decyzja mamy. Jedziemy do Świdra, jedziemy do Świdra na wakacje. I mama mówi: „Piotruś musi z nami jechać, bo on też musi mieć wakacje”. A Piotruś to było jego prawdziwe imię? On się nazywał, wie pan, nie jestem pewna, tyle co pamiętam, jego właściwe nazwisko chyba było

Piotruff, przez dwa „f”, ale nazywało się, że Rózkowski. Żydzi sobie przerabiali te nazwiska. Wiem tylko, że ojciec był Jan, żona była Maria, a on był Piotr, więc cała święta rodzina. No i rzeczywiście pojechał z nami do tego Świdra. No przecież jechało się pociągiem, taką kolejką, więc czasami myślę, że mama miała jakieś widzenie świata nie z tej ziemi. Przecież w każdej chwili mógł ktoś palcem go pokazać. Pojechał na te wakacje, z tych wakacji z nami wrócił, no nic się nie stało, bawił się tam, w porządku wszystko było. O rodzicach nic nie wiem, oni chyba poszli do getta i wtedy tego chłopca oddali rodzicom na przechowanie. Bo więcej się o nich nie mówiło, więc gdzieś byli zamknięci, ale chyba nie opuścili Warszawy, tylko w getcie byli. No więc tu z jednej strony jest ten chłopiec w naszym domu, z drugiej strony mama jest ciężko chora, jest w szpitalu na operacji. Zjawiają się po raz drugi, ale to już zjawiają się na zasadzie, w nocy wpadają Niemcy, ale to tak, wie pan, jak to się odbywa, frontowymi drzwiami, kuchennymi drzwiami, wszyscy do każdego pokoju, światła, latarka w oczy, łóżka, wszyscy w jednym miejscu w korytarzu zebrani. „Gdzie jest Tadeusz?”. No i zgodnie z prawdą powiedzieliśmy: „Przy żonie w szpitalu, bo ma operację”. No i nie wiem, nie chcieli nas płoszyć czy coś, w każdym razie powiedzieli, że: „Tu w waszym mieszkaniu mieszkał ktoś, który pewne grzechy ma wobec Niemców, zresztą złodziej i tak dalej, i my chcemy go złapać. Może Tadeusz coś wie o nim. No on przed wami tu mieszkał, więc wobec tego jest taka prośba, żeby ojciec, jak wróci do domu po operacji żony, żeby się zgłosił na policję”. Nie była mowa o żadnych, że tak powiem, specjalnym miejscu. Wiedzieliśmy, że to nie jest to, czego się wszyscy boją, tylko na policję. No, policja, zwyczajny budynek policji, żeby się zgłosił i ewentualnie złożył zeznania, jeżeli coś będzie więcej o tym człowieku wiedział. Nie wiem, jak dużo o nim wiedzieli, bo przecież jak go zatrzymali, to ja już więcej ojca nie widziałam. Ja właściwie pożegnałam się z nim w momencie, kiedy mama wjeżdżała na salę operacyjną, a ojciec zostawał i mówi: „Idź do domu, a ja tu przez noc będę, no i rano się zobaczymy, to powiem ci, co i jak”. To był ostatni raz, jak ja ojca widziałam. Ale jakieś wiadomości były o ojcu? – Docierały do was, do domu jakieś wiadomości? – Nie. Gdzie jest ojciec? Co się z nim stało? No to znaczy, gryps przyszedł: „Jestem na Pawiaku”. No wiele nie można było napisać, więc był na Pawiaku. To znaczy, mama po operacji od nas się nic nie dowiedziała. My powiedzieliśmy: „Mamusiu, przecież to wiesz, to nie jest gestapo, to jest po prostu zwyczajny budynek policji. Ojciec poszedł, żeby złożyć zeznania”. No ale jak długo można było mamie opowiadać te banialuki, kiedy ojciec, wiadomo było, że by codziennie ją odwiedzał, tak jak ją odwiedzał, zanim poddała się tej operacji. No więc ile razy można było powiedzieć, że on ciągle jest na policji, co z nim jest?. Więc w pewnej chwili zrobił się dramat, bo my mówimy, że no nie wypuszczają, ale w każdym razie to nie jest gestapo. No ale przyszedł gryps. Pawiak, no Pawiak. To jest w gmachu policji, jeżeli by chodziło o jakiegoś złodzieja, nie złodzieja, to by człowieka trzymali chyba raczej nie na Pawiaku. Tak że zrozumieliśmy, że po prostu trafili na kogoś, na kogo chcieli trafić, rozpoznali ojca. Wystali go do Oświęcimia. Mam zresztą książkę z Oświęcimia. Wszystkie, wie pan, spisy. Syn jak był, to poprosił i w kancelarii dali mu spis ludzi, którzy transportami byli przywożeni. Więc tam jest dzień i z jakim transportem ojciec został przywieziony do Oświęcimia. To jest taka książka, księga pamięci.

Rafał Pękała: A czy wiadomo, jakie były jego losy w tym Oświęcimiu? Czy on ocalał do końca wojny? Czy wyszedł z tego obozu z...

Anna Danuta Przytuła: Nie. Sytuacja tak wygląda, że mnie, ja jeszcze nie powiedziałam o tym, bo nie uważałam, żeby to było specjalnie ważne, ale pani Plater także straciła tę swoją placówkę. Jakoś się zorientowali Niemcy, że coś takiego nie ma istnieć. Więc ona po prostu otworzyła tak zwaną Szkołę Gospodarstwa Domowego, która oczywiście

nie była szkołą gospodarstwa domowego, tylko normalne klasy się... i ona zainstalowana była w sąsiednim domu na Moniuszki. No więc ja na tę pensję oczywiście dalej latałam, tam miałam swoje lekcje. Kontynuowałam swoją normalnie gimnazjalną klasę. No i w pewnej chwili ta pani Plater powiedziała, że: „My wiemy, że wasz dom jest...”, wiedziała o ojcu, „...wasz dom jest pod obserwacją”. „Ty nie przychodź, bo naprawdę na nas ściągniesz nieszczęście. Na razie przerwij naukę, nie przychodź”. My zauważyliśmy rzeczywiście, że dom był obserwowany, no ale wie pan, no nikt nie siedział na balkonie i cały czas nie pisał jak, kto wygląda. Tylko babcia mówi: „Wiedziecie co, że my nie damy chyba rady, dlatego że przecież to dziecko u nas jest. Jak długo nam się będzie udawało?”. Więc w pewnej chwili powiedziała i mama, i babcia, że: „Słuchajcie, musimy Piotrusia zaprowadzić do jakiegoś zakonu...”, ponieważ jakieś zawiniątko, nigdy nie widziałam go, ale jakieś tam drobiazgi ci rodzice dali, „więc weźmiemy to i zaniemiemy, no i poprosimy, żeby...”, tak jak zakony zatrzymywały, pomagały przecież. Zdecydowali się przyjąć go, że będzie u nich, ale wie pan, brzmi to śmiesznie, ale ja nigdy nie wiedziałam, gdzie on był. Mówiłam, że ja bym go może chciała odwiedzić... „Nie”. – „Ale gdzie on jest?”. – „Niech cię nie obchodzi, gdzie on jest”. „Ja nie mam zamiaru nikomu mówić”. „Nie masz zamiaru, ale może się zdarzyć, że będziesz musiała powiedzieć. Jak nic nie wiesz, to nic nie powiesz”. Więc ja nigdy się nie dowiedziałam, do jakiego zakonu mama z babcią zaprowadziły to dziecko.